Garść myśli na tematy rządowe

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI

Niemal dwa lata temu odbyła się w Krakowie (na zaproszenie o. Macieja Zięby) dyskusja o tym, co powinniśmy robić. Jacy „my"? Ci, którzy zostali zaproszeni, ale mówiąc bardziej ogólnie – ci, którzy przegrywali kolejne wybory: najpierw parlamentarne w roku 1993, a później prezydenckie. Inaczej jeszcze mówiąc: przedstawiciele strony, którą kiedyś, w latach 1988–89 nazywano stroną społeczną. Oczywiście nie było tam wszystkich, tylko niektórzy, ale zebrała się jednak grupa dość znacząca. Było z kim pogadać, a przede wszystkim było o czym.

Nastrój był ciężki, humory skwaszone, perspektywy ciemne. Wygłoszono jednak wiele wnikliwych analiz stanu spraw w Polsce: od kwestii ekonomicznych, poprzez zagadnienia prawne, po badania socjologiczne i prezentujące stan opinii publicznej. Ale to wszystko wciąż nie dawało odpowiedzi na leninowskie pytanie: co robić? Jakie popełniono błędy? W czym szukać remedium?

Przyszła mi wtedy do głowy myśl *nieoczekiwana i tak bezczelna, że aż się zląkłem*. Pomyślałem, że jeśli ją wypowiem, obrócę przeciw sobie całą salę, a wielu ludzi, których szanuję i lubię, śmiertelnie się na mnie obrazi. Ale z drugiej strony – pomyślałem – zaproszono nas tutaj po to, abyśmy coś doradzili, a nie abyśmy prawili dusery. Ponieważ zaś nie należę do żadnej partii i nie ubiegam się o żadne stanowisko, stać mnie na bycie szczerym.

I powiedziałem: musimy wyrzucić na śmietnik cały nasz system partyjny; partie po naszej stronie do niczego się nie nadają, są bajecznie niezdolne do walki o wyborców; w tym stanie rzeczy w każdych kolejnych wyborach będą tracić głosy. Trzeba usunąć wszystkich prezesów i większość ich otoczenia; niektórzy z nich zdziałali dużo i są wielce zasłużeni, ale nastąpiło w nich zmęczenie materiału; inni w ogóle nigdy nie nadawali się do niczego; trzeba zrobić wszystko, by zainteresować młodych, otworzyć im drogę; sformułować programy w języku, którego młodzież używa i zająć się jej problemami. Oczywiście trzeba także zająć się problemami emerytów, strefy budżetowej, wsi itd. Natomiast należy zaprzestać koncentrowania się na zmianach nazw ulic, na poświęcaniu sztandarów, na rozważaniu czy rację miał Piłsudski, Dmowski, czy może Korfanty. Jeśli szybko nie powstanie nowy system partyjny, to przegramy następne wybory i wtedy będziemy już mieli dużo czasu: 40 lat takich rządów, jakie swego czasu miał Meksyk. Rządów jednej partii, kilku mafii i pewnej liczby stuprocentowych monopoli. Będzie garstka rządzących i miliony Indian.

Na sali zapadła cisza. Nie miałem wątpliwości, że nie zyskałem sympatii. Dostrzegłem utkwiony we mnie, uważny wzrok jednego uczestnika – jedynego, na którego sympatii i zrozumieniu naprawdę mi zależało. Pierwszego premiera niepodległej Rzeczypospolitej. Podszedłem i powiedziałem, że przepraszam, że to zabrzmiało tak brutalnie, ale taki jest mój pogląd. Odpowiedział: zgadzam się, ja też tak uważam.

♦

Nie minęły dwa lata i tak właśnie się stało: krajobraz polityczny w Polsce zmienił się całkowicie. Wspominam o tamtej naradzie nie dlatego, bym uważał, że miała wielkie znaczenie – pewnie nie miała żadnego. Mówię o niej dlatego, że już wtedy było oczywiste, że wszystko musi się zmienić.

Kształt tego, co powstało jest inny, niż ktokolwiek mógł sobie wtedy wyobrazić. Czy ktoś wyobrażał sobie, że Marian Krzaklewski będzie w stanie stworzyć i poprowadzić do zwycięstwa zupełnie nową formację polityczną? Raczej nikt, a najmniej postkomuniści z SLD. Postkomuniści wykazali się zresztą, jak zwykle, najmniejszą wyobraźnią polityczną i najmniejszą zdolnością przewidywania – zupełnie jak w latach 1989–90. Ich czołowi, stanowiący przywództwo, działacze zupełnie się zresztą nie kryli, że lekceważą konkurencję i są całkowicie pewni wygranej. Leszek Miler wielokrotnie otwarcie o tym mówił. On sam, a także pani Sierakowska, pan Szmajdziński, pan Oleksy niejeden raz nie byli w stanie ukryć lekceważenia i poczucia wyższości. Dla nich było oczywiste, że AWS musi się rozpaść, że do koalicji z UW nigdy nie dojdzie i że oni, w oparciu o swe umiejętności, pieniądze, organizację, rutynę – muszą wygrać. Rok temu prezydent Kwaśniewski wypowiadał się nawet w tym sensie, że Unia Wolności nie zdoła wejść do Sejmu.

Z tą tezą – że SLD był pewny wygranej – można polemizować. Ktoś może powiedzieć, że to, co Sojusz zrobił z Telewizją i ze Służbą Cywilną świadczy, że nie był pewny zwycięstwa – dokonał skoku na kasę póki jeszcze mógł. Ale myślę, że to pomyłka. Nie zrobiłby tego, gdyby czuł się niepewnie. Nie mógł liczyć, że w razie zmiany władzy rzecz się ostanie. Były to przecież posunięcia samobójcze, ułatwiające działanie stronie przeciwnej.

Teraz SLD nadal liczy, że rząd się nie ostanie, że to się jakoś zmieni. Poseł Miller nie szczędzi jadowitych uśmiechów i drwin. A prezydent wszystkich Polaków, jak mały chłopiec, biegnie do drzwi wejściowych *nie po to, by zamienić parę słów* z premierem Buzkiem, tylko żeby pogratulować Millerowi bezpardonowego ataku na exposé. Zupełnie jakby gratulował Gołocie.

SLD zaciął się i obraził. Chwała Bogu. Niepokoiłbym się, gdyby postępował mądrzej.

I jeszcze drobna uwaga o prezydencie. *Jest on mistrzem w niekończeniu* zaczętych zadań. Tak jak mówił o swym wykształceniu nie dopowiadając, że go nie ma, tak – w obliczu owych pośpiesznych gratulacji przy drzwiach – można pomyśleć, że mówiąc o „Prezydencie wszystkich Polaków" też nie dokończył zdania. Pełne zdanie brzmi: „Prezydent wszystkich Polaków, którzy byli w PZPR". A i to, w gruncie rzeczy, wcale nie wszystkich.

♦

Powstał nowy krajobraz. Marian Krzaklewski okazał się nieporównanie większym graczem, większym talentem, niż to sobie wyobrażano. Było wielu madrali, którzy doradzali co robić (jednym z nich, jak wynika z początku artykułu, byłem i ja), ale tylko Krzaklewski rzeczywiście zrobił to, co zrobić było trzeba. Dlatego wybrzydzanie dzisiaj jest nie fair.

Powstała nowa, młoda, silna formacja polityczna, która wciąż się uczy – i w ciągu półtora roku odebrała SLD władzę. Budowa tej formacji nie jest ukończona i jest niezmiernie trudna. To wcale nie musi się zakończyć trwałym sukcesem. Można sobie wyobrazić, że stanie się inaczej. Ale kolejne etapy są pokonywane skutecznie – i coraz lepiej. Wszyscy niepokoilismy się powolnym tempem powstawania rządu, SLD nie krył już uśmiechów lekceważenia i tryumfu. Ale ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje ostatni. Mimo usiłowań wsadzenia kija w szprychy przez Kaczyńskiego czy Słomkę, powstał w terminie rząd, którego jakość – dotyczy to zwłaszcza premiera – jest wyższa, niż można się było spodziewać, a wybór ewangelika na premiera Polski jest posunięciem wręcz genialnym. Rozładowuje to wiele obaw na świecie i odbiera amunicję panu Millerowi i pani Sierakowskiej. Pozbawiono ich w ten sposób ukochanej zabawki, ale oni nie są dziećmi, więc mi ich nie żal.

Pamiętam, jak cztery lata temu Zbigniew Brzeziński narzekał, że w Polsce jest ponad dwieście partii. Ale dziś jest ich już tylko cztery, a w gruncie rzeczy trzy. Horyzont opustoszał. Osłabły i niemal znikły *partie, na które liczył SLD jako na pozostające* w jego strefie: Unia Pracy i PSL. Z prawej strony rozleciał się ROP, klęskę poniosła jałowa, bezpłodna i bezprogramowa negacja. Załamały się dywersyjne „partie emeryckie". Znikli pajace, błazny, satyrycy, wydrwigrosze. Horyzont polityczny stał się poważny, choć naturalnie nie brakuje w nim nadal mętniactwa. Niemało tego mętniactwa jest i w samej AWS, tym groźniejszego, że wchodzi ono czasem w otwarty konflikt z polskim interesem narodowym, powinno więc być czym prędzej powściągnięte.

To, co usłyszeliśmy od premiera Buzka i co mówi o swych zamierzeniach rząd, jest poważne i budzi nadzieje. Chcę wierzyć, że rządowi nie zadrży ręka przy wdrażaniu tak bardzo już spóźnionych reform: w gospodarce, prywatyzacji, finansach, samorządzie, lecznictwie, w ubezpieczeniach i emeryturach, w rolnictwie, oświacie. A także w prawie, sądownictwie, administracji. I – co nie mniej ważne – w UOP czy w służbie zagranicznej. Długa to lista, ale Polska przypomina dziś stajnię Augiasza.

♦

Zastanawiające jest porównanie zapaści intelektualnej, jaka ogarnęła SLD z twórczą i szybką ewolucją „strony społecznej". Ta zapaść po stronie byłych komunistów nie jest zjawiskiem nowym. Charakteryzowała ona tę formację przez dziesiątki lat, ale w ostatnich paru latach wydawało się, że ustępuje. Było to tylko złudzenie. Rozumują oni zawsze według kilku wyuczonych standardów. Głównym jest to, że oni mają zawsze rację, a inni *jej ex definitione* mieć nie mogą. Stąd później niepowodzenia. Powtórzyło się to i teraz. Gdy tylko pojawiło się prawdziwe wyzwanie i narodził prawdziwy opór – ci mądrzy i rutynowi działacze znów się pogubili, a zwłaszcza uwierzyli we własną propagandę.

Piszę używając terminu „strona społeczna", który był tak popularny w czasach pierwszej „Solidarności". Myślę, że to jest właściwy czas, by przywrócić go do życia. ❑

Święty Jerzy po raz piąty

„Nie wiadomo czy św. Jerzy istniał, ale na pewno istniał i wciąż istnieje smok, z którym walczył. Bo smok to symbol tego wszystkiego, co człowiekowi zagrażało, zagraża i – niestety – będzie zagrażać" – powiedział Krzysztof Kozłowski wręczając przyznane już po raz piąty Medale Świętego Jerzego. W tym roku kapituła – Józefa Hennelowa, Krzysztof Kozłowski, Jan Józef Szczepański, ks. Józef Tischner i Jerzy Turowicz – uhonorowała twórców domu dla niepełnosprawnych Fundacji im. Brata Alberta w Radwanowicach, panią Zofię Tetelowską i ks. Tadeusza Zaleskiego, oraz lidera Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy Jerzego Owsiaka. Na uroczystość do sal Pałacu pod Baranami przybyli znakomici goście. Szczególnie serdecznie witano Metropolitę Krakowskiego, ks. kardynała Franciszka Macharskiego, przewodniczącego Rady Miasta Krakowa Stanisława Handzlika, wicewojewodę Jerzego Millera i krakowskich parlamentarzystów – senatora Stefana Jurczaka i posła Jana Rokitę.

„Dziękuję, ale myślę, że wykonałam tylko swój obowiązek" – powiedziała odbierając medal wyraźnie wzruszona Zofia Tetelowska. W 1987 roku przekazała swój dom i ziemię na potrzeby powstającej Fundacji. Dziś w rodzinnym dworze pani Zofii dom znalazło kilkudziesięciu niepełnosprawnych. Ofiarowane przez nich kwiaty miały zapewne dla pani Zofii ogromne znaczenie, jak pięknie odlany w brązie medal, autorstwa Macieja Zychowicza. Ks. Tadeusz Zaleski odbierając wyróżnienie dziękował przed wszystkim za zaufanie, okazane mu przez Panią Zofię, ale także przez ks. kardynała Macharskiego, który zawsze wspierał radwanowickie dzieło.

Fot. DANUTA WEGRI

Rodzina Owsiaków z Kard. Franciszkiem Macharskim

Ks. Tadeusz Zaleski i Zofia Tetelowska

Trzeci laureat medalu, Jurek Owsiak mówił: *„Orkiestra jest dziełem przypadku albo dobrych aniołów stróżów, które naprawdę dbają o nas"*. Twórca jednej z najbardziej spektakularnych akcji charytatywnych w III RP (przyznanie mu medalu Krzysztof Kozłowski określił jako sposób na „wyrównanie" w stosunkach między Owsiakiem a atakującymi go nieraz przedstawicielami Kościoła) przestrzegał przed nisko latającymi aniołami w czasie następnego finału Orkiestry (już 4 stycznia). Trudno nie wierzyć w opiekę nadprzyrodzonych sił nad Orkiestrą, w której od 5 lat grają setki muzyków i tysiące wolontariuszy. W pięciu dotychczasowych finałach Orkiestry zebrano 15 milionów dolarów na zakup sprzętu medycznego dla szpitali.

„Ten medal trzeba by rozkruszyć i podzielić między wszystkich tych, którzy starają się, by Wielka Orkiestra mogła grać aż do końca świata i jeden dzień dłużej" – zauważył Jerzy Owsiak. Podobnie pewnie myślała pozostała dwójka laureatów. Na zdjęciach licznie zgromadzonych fotografów pozostanie trójka pozornie bardzo różnych ludzi. Starsza pani w granatowej sukience i z nieodłączną torebką, młody, choć poważnie wyglądający ksiądz z brodą i żywiołowy twórca witraży z kolczykiem w uchu. Może dzięki nim na świecie rzeczywiście będzie trochę mniej smoków a te, które zostaną, zostaną przynajmniej oswojone ich dobrocią i bezinteresownością. MS

KOMENTARZE

Polska, Litwa, Ruś

Bronisław Geremek odbył swą pierwszą podróż zagraniczną jako szef MSZ nie na Zachód, ale na Wschód: do Wilna i Kijowa... Ten wybór ma znaczenie symboliczne: oto Polska, ustalająca właśnie z NATO warunki swego przyszłego członkostwa, chce po przystąpieniu do Sojuszu pozostać tym, czym była dotąd: ambasadorem europejskich aspiracji dawnych republik sowieckich. Litwa i – przede wszystkim – Ukraina rzeczywiście posiadają dla nas rangę partnerów strategicznych. Ale w Wilnie opcja proatlantycka jest uznawana za sprawę oczywistą, w związku z czym Geremek mógł deklarować: „Wszędzie tam, gdzie Polska jest członkiem organizacji międzynarodowych, chcemy widzieć obok siebie Litwę". Natomiast na Ukrainie – będącej skądinąd członkiem WNP – plan wejścia do NATO jest kwestionowany przez znaczną część społeczeństwa i elit politycznych, zaś fatalny stan gospodarki może w najbliższych latach (o ile nie już w przyszłorocznych wyborach) wpłynąć na „powrót" tego państwa na wschód. Dlatego Bronisław Geremek zaoferował Ukraincom „praktyczną instytucję współpracy", włączoną w programy międzynarodowe, a prowadzoną przez Leszka Balcerowicza – doradzającego już wielu krajom w procesie transformacji.

W drodze z Wilna do Kijowa polski minister ominął Mińsk – i jest to zrozumiałe. Dopóki na Białorusi łamane są prawa człowieka, dopóki istnieją tam więźniowie polityczni i działa parlament nie pochodzący z wolnych wyborów – dopóty kontakty z tym państwem są *niemożliwe. Natomiast nie jest dobrze*, by strona polska składała deklaracje takie, jak w Kijowie, gdzie uznała za celowe wyjuskanie Białorusi z jednostronnych (w domyśle: rosyjskich) powiązań. Przecież wystarczy powtarzać swoje *„ceterum censeo"* w sprawie nie przestrzegania standardów demokracji! Białoruś demokratyczna będzie i tak europejska.

Wileńsko-kijowska wizyta ministra Geremka wpisała się w procesy zachodzące w naszym regionie w tym roku. Stosunki polsko-litewskie wkroczyły właśnie w fazę swego rodzaju związku międzypaństwowego, stosunki polsko-ukraińskie zaowocowały pamiętną deklaracją pojednania. Dopiero co byliśmy *też świadkami spotkań prezydentów państw naszej części Europy*: w Gnieźnie na zaproszenie Ojca Świętego oraz w Wilnie na zaproszenie prezydenta Litwy. „Polska powinna ściśle wiązać swój los z losem regionu" – mówił w Wilnie Geremek, przypominając postać Jerzego Giedroycia – politycznego wizjonera, głoszącego uparcie tę prawdę od pół wieku. ANDRZEJ ROMANOWSKI

UOP sam prosi o opcję zerową

Myślę, że bez publikacji „Życia" („Korpus szpiegowski", 15 XI '97) i tak każdy średnio rozgarnięty człowiek wie albo co najmniej domyśla się, że wcale znaczna część dyplomatów (nie tylko rosyjskich!) to faktycznie funkcjonariusze wywiadów. Jest to praktyka powszechna w świecie i wszyscy o niej wiedzą.

Wywiady robią swoje, kontrwywiady swoje, oficjalnie się o tym nie rozmawia. Od czasu do czasu jakieś państwo wydali jakiegoś dyplomatę za „działalność niezgodną ze statusem dyplomaty", wtedy państwo, którego dyplomatę wydalono oburza się, zaprzecza, czasem ogłasza, że to prowokacja i w ramach retorsji wydala dyplomatę państwa, które jemu wydaliło...

I dalej: wywiady robią swoje, kontrwywiady swoje. To znaczy wywiady chcą dotrzeć do informacji, kontrwywiady chcą im w tym przeszkodzić, czasem przewerbowując im agentów, to znów dezinformując, podsuwając informacje specjalnie spreparowane.

Rewelacje „Życia" faktycznie nie są żadnymi rewelacjami, nawet gdyby były rzetelne. Ale „Życie" podając szczegóły o dyplomatach rosyjskich korzystało z całą pewnością nie tylko z ustaleń własnych dziennikarzy. Wygląda to wszystko na kolejny przeciek z UOP.

Nie wnikam, kto za tym stoi ani co chce przez to osiągnąć. Obojętne, czy przecieki do „Nie" robi inna grupa oficerów (lub/b. oficerów) UOP a do „Życia" inna, czy może robi to ta sama. Fakt, że UOP jest kompromitująco nieszczelny, że jego funkcjonariusze wciąż uczestniczą w jakichś grach politycznych, że nikt nad tym nie panował.

Nie wiem co zrobią Rosjanie: zignorują „rewelacje", kategorycznie im zaprzeczą, obrażą się, czy może zrewanżują publikując odpowiednią listę naszych dyplomatów w Moskwie albo – jeśli będą złośliwi – nie tylko w Moskwie...

Nie wiem, czy i jak ta publikacja, kompromitująca nie tyle służby rosyjskie co – niestety polskie – odbije się na stosunkach polsko-rosyjskich i nie wnikam w to.

Z ubolewaniem stwierdzam, że po raz kolejny nie kto inny jak właśnie oficerowie (b. oficerowie?) UOP próbują przekonać opinię publiczną, że ich firma do niczego już się nie nadaje i z gorliwością, sami zdaje się o tym nie wiedząc, przekonują do celowości opcji zerowej. JAN WIDACKI

Wojny z Irakiem nie będzie

Najnowszy kryzys międzynarodowy wywołany przez reżim Saddama Husajna osiągnął punkt krytyczny. Jednak wszystko wskazuje, że Saddam dalej liny przeciągać nie chce. Wyrzucenie ONZ-owskich, przede wszystkim amerykańskich, inspektorów kontrolujących potencjał militarny Iraku, posłużyło Bagdadowi do wypróbowania dzisiejszej solidarności najpotężniejszych uczestników antysaddamowskiej koalicji z lat 1990–1991. Niewykluczone, że prowokacja Saddama miała też na celu uzyskanie czasu potrzebnego do ukrycia przed inspektorami jakichś szczególnie „obiecujących" osiągnięć irackich tajnych laboratoriów broni chemicznej czy biologicznej. Irak grał i gra na rozmiękczenie zewnętrznego antysaddamowskiego „frontu odmowy". Liczy na przychylność Francji, Rosji i Chin, tradycyjnie niechętnych dominacji USA w polityce światowej. Chce przekupić te państwa perspektywą lukratywnych kontraktów naftowych po zniesieniu ONZ-owskiego embarga na handel z Irakiem. Na razie jednak testowanie wypada średnio zachęcająco dla dyktatora. Kraje wodzone przezeń na pokuszenie wahają się lub odmawiają. Waszyngton zaś sięgnął po kij: taktykę nacisku militarnego i intensywną akcję dyplomatyczną. W obliczu rosnącej konsolidacji zewnętrznej Irak spuścił z tonu. Wszystko to nie zmienia faktu, że podstawowy problem z Irakiem – jak usunąć Saddama? – nie ma rozwiązania. Rządzącego od roku 1979 dyktatora może obecnie usunąć jedynie sam naród iracki, a na to się nie zanosi. Irak to nie Rumunia, świat arabski to nie Europa pod rządami komunistów. ADAM SZOSTKIEWICZ

Kurs dolara na Kremlu

Obliczono, że wicepremier Rosji, Anatol Czubajs, któremu znajomy wydawca zapłacił za nie opublikowaną jeszcze książkę o prywatyzacji 50 tys. USD, zarobił za każdą literkę po jednym amerykańskim dolarze. Identyczne honoraria otrzymało czterech innych wysokich urzędników Federacji. Razem dało to prawie pół miliona dolarów za broszurę – suma astronomiczna, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę, że w otoczeniu Kremla niektórzy liczą pieniądze na paczki, a nie na sztuki. Wszyscy winowajcy, prócz Czubajsa, zostali już albo odwołani przez Prezydenta, albo sami zrezygnowali ze stanowisk. Tymczasem wicepremier tłumaczy, że honorarium zostało przekazane na cele charytatywne, ale – co oczywiste – nie ma najmniejszego powodu, aby wierzyć w jego szlachetne intencje. Ten polityk największe sukcesy zawsze odnosił w sferze prywatnej, a obecna afera jest tylko wierzchołkiem góry lodowej. W czerwcu 1996 roku silny generał Korżakow próbował zaaresztować dwóch pracujących pod Czubajsem pracowników wyborczego sztabu Jelcyna, którzy taszczyli kartonowe pudełko z 500 tys. dolarów w środku. Spotkało się to z natychmiastowym odwetem Czubajsa, który miał wtedy za sobą dziennikarzy ORT1 – Korżakow został błyskawicznie odwołany. Jednak dzisiaj dziennikarze ORT1 – po odwołaniu tydzień temu ich bossa, Borysa Bieriezowskiego – stanęli murem przeciwko Czubajsowi. W sobotnim analitycznym magazynie „Wriemia" przez godzinę dowodzono, że wicepremier Rosji jest zwykłym złodziejem i twórcą afer podatkowych, które doprowadzą kraj do ruiny.

Nieważne, kto za kim stoi. Wina Czubajsa jest tym większa, że skompromitował nie tylko siebie, lecz także reformę, którą współtworzył. Moskiewska władza przeżywa bardzo ciężki okres, co w połączeniu z nadal trudną sytuacją gospodarczą zapowiada kolejny atak komunistów przeciwko Jelcynowi i reformie.

GRZEGORZ PRZEBINDA